

Alfred Marek Wierzbicki

FOTOGRAFIA

RODZINNA



Alfred Marek Wierzbicki
Fotografia rodzinna



Na fotografii Ignacy Horodecki z wnukami.
Drugi od prawej, na dole, Piotr Wierzbicki
– ojciec autora.

Alfred Marek Wierzbicki

Fotografia
rodzinna



Wydawnictwo Test

Alfred Marek Wierzbicki
Fotografia rodzinna

Wydanie pierwsze
2010

Redakcja i opracowanie graficzne
Bernard Nowak

Fotografia ze zbiorów autora

Postscript
Piotr B. Nowak

ISBN 978-83-7038-813-2

Copyright ©by Alfred Marek Wierzbicki

Wydawnictwo Test
20-147 Lublin
Al. Spółdzielczości Pracy 13 A
e-mail: test.bn@wp.pl
K; 0-606-359-936

FOTOGRAFIA RODZINNA

FOTOGRAFIA RODZINNA

Nie ma kogo zapytać,
z jakiej okazji została zrobiona.
Mój ojciec miał najwyżej dziesięć lat,
było to w latach trzydziestych tamtego wieku,
który wciąż był podobny do wieku dziewiętnastego.

Pradziadek Ignacy Horodecki,
ostatni ziemianin w rodzinie,
kresowy patriarcha, otoczony wnukami.
Zebrało się ich dwadzieścia pięcioro.
W tle brzoźowy zagajnik,
a poza tłem już czał się
to wszystko, czego nie można było
ani wyobrazić ani odpędzić.

Wykonała ją Żydówka z Wilejki.
To zdjęcie
jest śladem jej istnienia.
Nikt z jej rodziny nie przeżył
i nie wiadomo, jak miała na imię.

Gdy kończyła się wojna
dziadka Hieronima i jego kuzynów
Sowieci wywieźli do łagrów
i nie wrócili stamtąd.
Wszystkie dzieci z rodzinnej fotografii,
było ich dwadzieścia pięcioro,
otworzyły powojenne rachunki z życiem.

* * *

Witaj Miasto!
Jesteś księgą pytań
to znaczy sam staję się tutaj pytaniem.
Intensywniej widzę i przeżywam
swoje i cudze doświadczenia.

Twój gotyk, który podbił Napoleona
i pyszny barok niczego nie tłumaczą.
Jesteś równaniem z milionami niewiadomych.
W kościele Apostołów Piotra i Pawła
bliski rozwikłania
sam staję się figurą rebusu
cierpię na pomieszanie słów i gestów.
Bolą mnie skreślone skrzydła anioła
urwana broda Żyda
rozstrzelane uszy pani Ireny.

Jak dobrze pławić się w wodach chrztu
razem z pogańskimi plemionami
w towarzystwie stworów jezior i morza,
istot, jakich nie ma w żadnej encyklopedii.

Nie powinno zginąć nic z naszej wyobraźni i pragnień.
Co było i co jest powinno ocaleć.
Ale złośliwy demiurg tego świata
inną wyznaje wiarę.
Już kiedyś rozniósł mieszkańców Miasta
jak kulę dmuchawca.

Rodacy i Litwini znów w swarach o obraz.
Szukam rymów zgodnych i pogodnych jak
ksiądz Baka.

Jak nieznana święta sprzed wojny
szepczę
Jezu ufam Tobie.

W KWIETNIU

W ogrodzie u sąsiadów
na który patrzę z góry
kwitną forsycje i żonkile.
Co mają w kwietniu robić kwiaty?

Niebo pogodne, ale groźne.
Niewidzialny i wszechmocny obłok wulkanu
samoloty na lotniskach skulone ze strachu.
Nie daj Boże
abyśmy nadużywali Twojego imienia.

Daleko na Wawelu
pogrzeb prezydenta.
Był bliźniakiem,
naszym bliźnim.

W ogrodzie u sąsiadów
na krzywym płocie
sroka i dzikie gołębie.
Może zabłąkane.
Może wysłannicy
odpoczywający
w przerwie szczęśliwego lotu.

SZCZĘŚLIWE POKOLENIE

Na imieninach Wiesława
śpiewano piosenki biesiadne,
bogoojczyźniane,
ludowe i te najbardziej swawolne.
Od czasu do czasu ktoś próbował coś powiedzieć.
Na przykład: jesteśmy szczęśliwym pokoleniem,
mój ojciec brał udział w trzech wojnach –
Urodzeni za Stalina, w latach studenckich
chodzili na rajdy i wiece,
później z robotnikami wznosili palce
na kształt litery „V”
na nich spełniało się
przesłanie Herberta.
Z przyjęcia wychodzili parami,
w grupie i osobno
prosto w jaśminową noc.
Zostałem w pustym ogrodzie
z resztką wina i niedocieczoną myślą
nasłuchując śpiewów podobnych do nas ludzi
za sto i za dwieście lat –

* * *

5 marca 2001 roku zapisałem:
Niezapomniany pozostaje spacer
w ogrodach watykańskich.
Niezapomniany?
Mój Profesor, z którym latami wędrowałem
meandrami spraw ludzkich,
utracił pamięć.

Chodziliśmy po pagórkach.
Kopuła św. Piotra zrównywała się
z naszymi głowami,
potem znowu się wznosiła,
chowwała za piniami
i odsłaniała w prześwitach.

Tak zapamiętałem tamto popołudnie,
słońce kładło szyfr na trawniku,
nie mam pewności co do szczegółów.

2009

NIEDAWNO

Pachniały lipy,
nocą wychodziły jeże.
Deszcz wprowadził lato.
Nie zdążyliśmy w porę
wypowiedzieć zaklęć
nad pustką i pełnią.

* * *

Z samego rana
wysyłają SMS-y do radia
„Szukam przyjaciela”
„Czy teściowa mnie kiedyś zaakceptuje?”
„Przykre słowa usłyszane od Basi
20 lat temu jeszcze mnie bołą”

Czym jest ból w pustce eteru
większej niż pustka samotności?
Ktoś cię usłyszy
a kto wysłucha?

DOBROĆ I CIEMNOŚĆ

Chciała być bliżej nieznanych ludzi
jedną z dziewcząt w białoniebieskim sari
jej wiara stawała się dobrocią
chude dłonie z czułością wyciągała
do Jezusa w ubraniu nędzarzy

Nie szukała ciemności
Przyszła sama
jak śmierć jak miłość
bolesne echo cudownego Boga

* * *

Ponoć wszystkie pytania
zwracają się do Boga
rzekomo ukrywa się
za każdą odpowiedzią.

Jeśli istnieje
to także w niewiedzy
jak błysk diamentu
i zawiesina bursztynu.
Jest i Go nie ma –
oznajmniają uśmiechem mistycy.

Najdoskonalsze pojęcie
nieskończenie puste
kiedy zdziwienie i radość
że jest
człowiek Jezus.

IMPRPOMPTU

Udziela się to, na co cierpiał Schubert.
Przyćmiona radość i śpiewna melancholia
narodziny i przemijanie, szczęście i nienasycenie.
Słucham impromptu, mollowa fraza
jak śnieg przewiewany z miejsca na miejsce
kusi do podróży i pozostania w domu.
Może najlepszym wyjściem snucie wspomnień?
Śmiech, narty w Szwajcarii, a potem grzane wino
i pieczenie kasztanów w kominku u Olgi i Artura.
U nich 20 lat temu usłyszałem tę muzykę.

03 01 2010

O CZYM MILCZY MARMUR

Ks. Markowi Szymańskiemu

Marmur, który mnie olśnił
teraz milczy
jakby oczekiwał, że powiem to
co chciałby usłyszeć
od wchodzącego na Kapitol.

Nieznany rzeźbiarz grecki
pomiędzy rokiem 130 a 150 po Chrystusie
przedstawił Apollona z atrybutami
zwycięstw i porażek.

Nieśmiertelnie młody
nagi przed sobą i przed światem
opiera się o drzewo zagarnięte przez węża.

Poradził sobie ze starodawnym draniem.
W rękę trzyma gałązki laurowe
na których siedzi ptak.
Głowa wzniesiona jak u gołębicy
skrzydła ociężałe jak u encyklopedystów.

Cóż dla skazanych na skazę?

Ku uciesze węża
pod markotnym okiem sowy
mitologia mogłaby flirtować z Biblią

gdyby nie krew Hebrajczyka.

* * *

Alhambra znaczy czerwona glina.
Miasto, gdzie ziemia bogata w żelazo
przemieniła się w życie, co trwa i go nie ma.
Twierdza radości i goryczy.
Próbuję to sobie jakoś poukładać
ale porządek i żywioł nie przystają do siebie.

Filozofowie na wycieczce to dopiero widowisko,
w andaluzyjskich kapeluszach, z wachlarzami
przy szyi.

A jednak wyciszeni, uważni, nasłuchujący
dyskusję o metodach i powrocie do rzeczy
przerwali i toczy się sama w klimatyzowanej auli,
gdy tu plenią się pysznie oleandry, mirty i róże.

Kochać kolory i dźwięki czy istotę piękna?
Genialni Arabowie wynaleźli geometryczno-
– roślinny wzór
aby zmysłowe prześwitywało przez idealne.
Z rozdarcia stworzyli język suchy jak alfabet.

Ściany pałacu szeleszczą ornamentami i tekstem.
Rozumie go nasz przyjaciel muzułmanin z Afryki.
Proszę, aby przetłumaczył.
– Czy naprawdę chcesz?
– „Allah zawsze zwycięża”.
– Nabierasz mnie?
Nabrzmiałe śmiechem usta
i zeszywniałe białka oczu

tworzą nie znaną tu figurę
chichotu i powagi
powagi i chichotu.

PO CO PRZYJECHAŁEM

Od razu przy wjeździe do Drohobycza
zauważyłem synagogę w płaszczu chwastów.
Tablice na szczycie czarne jak wrony.
Nad miejscem gdzie była bima skaleczone słońce.
Nie z tego świata roześmiana twarz Jakowa
zapowiada, że ruina zostanie odbudowana.
Była największą synagogą w Galicji.
Jakże musieli chełpić się jej fundatorzy
pobłogosławieni pokojem, dobrobytem i dziećmi.
Na posadzkach domów
pozostały gwiazdy Dawida i ciemne figury.
Może po to przyjechałem, aby śnić
o przemianie klucza do zardzewiałej kłódki
i w skamleniu psa, które pojawiło się w tle
rozpoznać znajomy głos.

PORTRET

Wszystkie twarze Drohobycza mają jego rysy
ulice pełne są jego nieobecności.
Zegar na wieży tyka z czułością
lecz nie potrafi zrównać
jego i naszego czasu.
Miasto jest całością jak rysunek.
Okna, balkony, powtarzające się i zmieniane
wielokrotnie,
kobiety w zarośniętych altanach i Mesjasz
na rogatkach,
fragmenty słodkiej pieśni trafionej kulą w gardło.

MUZEUM ZŁOTA

W upalny dzień w Bogocie szukałem cienia
i trafiłem do Muzeum Złota.

Cała cywilizacja miała gorączkę!

Inkarnacją solarnych sił byli kacykowie
państw wokół jeziora u podnóża góry.

Lśnią słoneczka w ich uszach, nozdrzach
i na powiekach

słoneczny pancerz okrywa tors i genitalia.

Złotym tchnieniem emanują ścieżki życia.

Ze złota piersi i pośladki kobiet.

Brzęk złotej sukni szamana miesza się
z zawodzeniem.

Złotymi szpilkami uśmiercano ofiary
składane bogom.

Zanim przybyli uczniowie Arystotelesa,
sami odkryli

że człowiek żyje w żywiole słowa.

Nie składali już ofiar z ludzi

przynosili posążki papug

bo w papudze znajdowała się ludzka
moc mówienia.

GŁOSA DO OBYDWU

Nauczył nas rozumieć Greków
bardziej po grecku.
To Gadamer o Heideggerze.

Toniemy w rzece zapominającej imię.
Jak grzechotką potrząsamy słowami
skrytość odkrywanie krawędź
bardziej czuli na obecność niż sens.

W BROCHOWIE

Co to za miejsce.

Ktoś leży w trawach i ogląda obłoki.

Rybacy piją wódkę.

Ktoś zna historię i mówi, że kościół,
w którym ochrzczono Fryderyka Franciszka
wcześniej był twierdzą.

Wierzby stoją w szeregu jak harcerze.

Każda podobna
i niepowtarzalna.

WYCIECZKA?

Pojedziemy do Piaseczna?

Ale tam nic nie ma.

Jest dworzec kolei wąskotorowej
z Warszawy do Góry Kalwarii.
Tam napijemy się chasydzkiej ciemnej kawy
i zobaczymy, jak wygląda nic.

JAK SZTABKI ŻŁOTA

godziny gorzkie bez godów
czarny druk na pożółkłych stronicach
jakby ze stromych schodów
spływała w mroku żywica

Józef Czechowicz

Złote cacko, w którym jest wszystko od
„Aachen” po „żyroskop”, skarbnica
wiedzy, skomprimowany wszechświat.

Michał Paweł Markowski

Pierwsza własna półka z książkami
żółte tomiki wierszy
w błyszczącym celofanie
jak sztabki złota.
Kim byłbym bez nich?

Ale wcześniej ogień buchał pod fajerkami,
babcia gotowała obiad i śpiewała godzinki.
Zimą zamykano kaflowy piec
gdy czarny węgiel zamieniał się
w dukaty, łańcuchy, pierścienie, medale.
Kaczeńce, jaskry i mleczce na wiosnę
miały blask wabiący dzieci i pszczoły.

A potem elementarz w okładkach jesieni
i gryzmolenie kulfonów asa, osy i lisa.
A potem najbardziej niezrozumiałe
i najbardziej konieczne
układanie zdań z niedosytu i złudzeń.

Alchemik przystępuje do dzieła
aby coś lichego przetopić na złoto.
Sztukmistrz na oczach gapiów
połyka i wyrzuca z ust ogień.

ZESZYT PANA CREDO

PAN CREDO PATRZY PRZEZ SZCZELINĘ

Pan Credo w złotym ornacie
siedzi na krześle pośrodku grobów
słucha kazania drzew gubiących liście
wdycha zapach chryzantem i świec.
Światło pełga w kolorowych pucharkach
podskakuje jak dziecko, burzy się jak krew.
Dookoła mężczyźni i kobiety
cienie gałęzi padają na ich twarze
niewyraźne przesłanie zachodzącego słońca.
Krewni tych, co kiedyś żyli
Jana Stanisława Marii i wszystkich zmarłych.

Pan Credo nie wie, co powiedzieć.
Jest przewodnikiem chóru, powinien odnaleźć
właściwy rytm, w którym ostrość widzenia
łączy się z głębokim oddechem.

Pan Credo kocha listopadowe obrzędy.
Nie jest pierwszy i nie ostatni.
Idzie w szeregu za swoimi przodkami
wpatrzony w szczelinę
szuka obrazów silniejszych niż słowa.

PODCZAS NIEPOGODY

Przyjazd Pana Credo
w listopadzie podczas słoty
należy do nieudanych.
O jakże wietrzne jest to wieczne Miasto.

Nasłuchuje łomotania okiennic
i posępnego śpiewu deszczu
na dziedzińcu pałacu kardynała Cesi.
Pozostało po nim imię
i renesansowe patio.
Na dwóch zielonych drzewach
dwa chóry ptaków.
Nieśmiertelna proporcja
i wrzawa jak w cyrku Nerona.

Pan Credo próbuje przetrwać niepogodę.
Czyta nocą rozmowy w Jerozolimie.
Chyba mu się przyśniło
a może widział naprawdę.
Zamiast przemawiać purpurat coraz mniejszy
jak chłopiec w klasie
odpowiada na najtrudniejsze pytania świata.
Nauczyciel z pochyloną twarzą milczy
wreszcie kiwa głową, jakby chciał powiedzieć:
siadaj, dostateczny.

Pan Credo ma gorączkę.
Nabawił się jej w kolejce
oczekując zziębnięty na zejście do podziemi
gdzie pochowano ogień.

JESIENNY PORTRET PANA C

Pan C chciałby złapać przemijanie
jak srokę, bażanta lub kosa.
Wystarczą iskierki października
i już zapala się od pochodni lipy
od płomyków dzikiego wina.
Radość mocuje się z żalnością
i nie wiadomo, który z osiłek zwycięży.

Pan C przeżył wiele rzeczy, które wypaliły się
chciałby wreszcie zająć postawę bezstronną.
Miejsce Pana C znajduje się pomiędzy A i B
na zawsze pozostanie trzecim
jak reporter, sędzia, pielęgniarz.

Nie buja w obłokach
nie przenosi drzew
nie zniża do poziomu kopczyków liści
ćwiczy się w horyzontalnej sztuce
uwagi i współczucia.

PODRÓŻ W ZIMIE

Jazda samochodem przez wyludnione miasteczka
nic ciekawego za oknem
ale za to rozmowy i słuchanie muzyki.

Wbrew regułom powtarza się płyta.
Smutek i uniesienie
w piosenkach żydowskich i Szopenie.

Wiekopomne śniegi.
Pan C obok Pana C
podróżują po bujne runo opowieści
wytrwale i cierpliwie
gdyby nawet mieli nic nie znaleźć.

PAN CREDO NIE ZGADZA SIĘ Z KIERKEGAARDEM

Pan Credo tęskni za Bogiem
jak jeleń Starego i Nowego Testamentu,
pragnie usłyszeć Jego głos
i zobaczyć oblicze.
Wystarczy mu recytacja psalmów
i zachwyt mozaiką w absydzie świętego Jana
na Lateranie.
Prawdziwy Bóg pozostaje ukryty,
a zamiary Jego niedocieczone.

Pan Credo nie chciałby być
poddany próbie jak Abraham.
Nie zgadza się z Kierkegaardem –
prawo moralne nie ustępuje przed wiarą
nie wolno szafować życiem.

Z odrazą myśli o torturach inkwizycji
bliższy mu niedowiarek niż natchniony
terrorysta.

Mówi otwartym tekstem –
sen z powiek spędza mu
koszmar wojen religijnych.

Pan Credo czyta Ewangelię
i podziwia Gandhiego, który
niedotykalnych uważał za braci
samotny aż do śmiertelnego strzału
z ręki współwyznawcy.

Pan Credo modli się o światło
które spłynie z wysoka
i położy się jak dywan blasku
na poszczerbionym bruku.

PAN CREDO KOI DUSZĘ

Pan Credo koi duszę nad Lednicą
cokolwiek znaczą dusza i ukojenie.
Spragniony początku myśli o tym
co z pokolenia na pokolenie.

Idąc przez pola ku jezioru
cieszy się, że ryczy oślica i bryka oślątko
szeleszczą chrząszcze i drą się żaby.

Głosy tak samo ważne
jak śpiew i wieczorne modlitwy młodych
jak gwar w domu i przed domem
jak cichy namysł nad ważnymi sprawami.

WIELKANOCNY DYPTYK PANA CREDO

1. *Noli me tangere*

Przyszła gdy jeszcze było
ciemno na wzgórzu i w jej wnętrzu
do grobu prowadziła ją tęsknota
łzy zmieszane z wonią olejku dla umarłych.
Zanim nastał dzień zobaczyła ogrodnika
a zaraz potem radość
jak pełne kosze oliwek i pomarańczy.
Nie dotykaj mnie, wstępuję do Ojca.
Rwała gałązki, zbierała owoce
Jego obecność nie mogła zmieścić się w dłoniach.
To nie był koniec, ale początek
nieoczekiwanej pieśni nad pieśniami.

2. *Infer digitum tuum*

Tomasz mój kolega
bliźni połowy ludzkości
(tej, co nigdy nie oderwała się od ziemi
i nie zaznała uniesień)
miał swoje rany
niewidzialne i dokuczliwe.
A rany Pańskie, w których objawia się Bóg
ciepłe w dotyku mówią więcej niż słowa
więcej niż człowiek potrafi ogarnąć.

SENNIK PANA CREDO

Bohdanowi Królikowskiemu

Kościół? Cerkiew?

Gdzieś w Rosji? Gdzieś na Sycylii?

Kobieta w czerni z rozpuszczonymi siwymi
włosami

żegna się i oddaje pokłony.

Jestem turystą, ale dlaczego ukrywam się
w konfesjonale?

Do staruszki podchodzi dziewczynka i prosi:

Naucz mnie tańczyć tak pięknie, jak ty.

Odciągają ją rodzice wrzeszcząc po angielsku:

Nie wolno ci, nie wolno.

Kobieta wychodzi z kościoła

ma twarz Sophii Loren, jej figurę i nogi

potem pochylona, podobna

do Anny Achmatowej.

* * *

Woda wydostaje się z łazienki
zalewa przedpokój, sięga do najwyższej półki
w szafie.

Studenci przyszli do mnie na wykład.
Weszli drzwiami przez taras.
Wiatr porusza firanki
Ktoś mówi: Nie ma go, to przeczytamy
jego wywiad z Galileuszem.
Uchylam drzwi: A właśnie, że jestem!

* * *

Zaskoczony, że śnię w nieznanym języku
ubrany w świąteczne nie swoje szaty
wychodzę wam na spotkanie
żydowski przodkowie.
Jak wyglądaliście?
O jacy dumni ze zrównania z polskimi panami.
Niemądrzy, zbyt pochopnie zrzuciliście
szlachectwo wybrania.
Po co przychodzicie we śnie?

* * *

Monsignori w fioletach i zielonych perukach,
kardynałowie w purpurze pod śniegiem.

Nagle zamieszanie, jakiś zgiełk.
Pod kolumnadą grupa nagich Indian.

Ceremoniarz mówi szeptem: Wpuście ich
to męczennicy przybyli na swą beatyfikację.

* * *

Wiem, że nie na jawie, ale we śnie
czytam Uctę i Pieśń nad Pieśniami.
Potem recytacja w pustym greckim teatrze
lecz nie rozumiem słów.
Trzymam dwie książki, siedząc jak reżyser.
Czuję ciepło kamiennej ławy.
Obok nieznajomy, z wyglądu Grek
mówi jakby do siebie: Miłość
to temat na tragedię i komedię
wiele w niej świętości i bezpieczeństwa
przydałby się autor, który to wszystko
wyrazi w jednej sztuce.

OBSERWATORIUM NA BRZEGU

OBSERWATORIUM NA BRZEGU

1.

Próbuję pozbierać wspomnienia
ułożyć je w słońcu jak ciała na plaży.
Nie mogę dopędzić siebie szesnastoletniego
który pierwszy raz zobaczył morze.
Obrazom potrzebna jest skala doznań
punkt odniesienia, jego właśnie szukam.
Wracam z pól z bukietem rozmarynu i wrotyczu
podnoszę do góry, przelatuję nad gotycką bramą
nad wieżą kościoła z czterema zegarami
nad zamkiem i zwodzonym mostem.
Wchłaniam miasteczko jak promienie
patrzy na siebie z mego wnętrza i widzi tyle, co ja.
Cienie, którym odjęte są kształty
ulice pogmatwane jak sznurki, raz krótkie,
raz długie
inskrypcje z poszczerbionymi literami.
Pradawny rybak podaje rybę z bursztynu.
Sprawdzam czy prawdziwy
czy przyciąga to, co rozpada się na miał.

2.

Cóż po latarni morskiej w epoce GPS,
bezużyteczna jak poezja.
A jednak pocziwa
trwa przy brzegu

przemieniona na sklep z pamiątkami
targowisko świeżych i wędzonych ryb.
Po drugiej stronie zatoki kościół
z podobnej czerwonej cegły
natłoczony ludźmi
którzy nie przestali szukać światła i nadziei.

3.

Kto to igra z morzem?
Czterech chłopaków i cztery dziewczyny
niby dobrani parami
jak dzika horda rzucają się na fale
miotają wulgarne okrzyki
na temat swych ciał.
Czy tworzą pokolenie
w którym telewizja zabiła wstyd?
A może radość istnienia
szuka formy, której żywioł nie ogranicza.

4.

Jestem specjalistą od wywoływania widm
może nie tak wierzącym jak pani Nina
która urządziła seanse
w ciemnym pokoju przy twardym stoliku.

Najbardziej użyła życia po śmierci męża
którego wcale nie przywołuje z zaświatów.
Siedzieliśmy w jego gabinecie, gdy zachodziło
słońce

w taflii biurka odbijała się Liza
najbardziej urodziwa z czarnych kocic.

O Zbysławie nie było wspomnień.
Natknąłem się na jego grób
nad którym powiewa poszarpane pióro pisarza.
Nie został wygnańcem. U świętej Gertrudy
w kaplicy jak rakietą
spoglądają na niego apostołowie, katoliccy święci
Luter i Melanchton w perfekcyjnie skrojonych
togach.

5.

Obudziłem się na wyspie poduszki
przetrwałem na tratwie łożka.
Aż do świtu i ostatniej kropli deszczu
zmagalem się z Lewiatanem.
Miał moje oczy, moje okulary, moje paznokcie.
Nie mam lekarstwa na fantomy.
Zapach jajecznicy na boczku i kawy
unosi się rano w otchłań psalmów.

6.

Potwory istnieją naprawdę.
W pogodny dzień rozpętała się burza
uciekaliśmy z plaży zamienieni w stado
jak mieszkańcy Pompei.
W barze przy zupie rybnej,
zastanawiałem się, co znaczy być.

Szamani nauki przekonują,
że zniszczona będzie ziemia,
a ludzkość przestanie istnieć.
Podwodnymi łodziami
statkami z fantazji i woli
przewożą w puszkach najlepsze nasze geny
aby ocalić inteligencję
w nieznannej istocie.

7.

Który to już wiersz o świętym Krzysztofie?
Ułożyć można antologię nieporadności i porywu.
Dla jednych naiwny średniowieczny obraz
dla innych cud sztuki konserwatorskiej
co wydobyla malowidło spod grubego tynku
odzyskując utracony czas.
Nic mi z tego.
Jak pot, jak lzy, jak woda chrzcielna
niech mnie zaleje pragnienie drugiego brzegu.

Darłowo, 11–21 lipca 2009

WARIACJE NA TEMAT OKNA

WARIACJE NA TEMAT OKNA

Wznoszę oczy przed ikoną
i biegnę do okna.
Codziennie nawet we pólśnie
gdy ciało mądrzejsze od myśli.

* * *

Biel śniegu i czerni drzew.
Słońce coraz wyżej.
Śnieg brudny i żłocisty
drzewa jarzą się w poszarzałej purpurze.

* * *

Szyba pochłania mnie jak Narcyza.
Lśniącej powierzchni opór stawiają
ciemność i dal.
Samopoznanie zaczyna się od bólu.

* * *

Najbardziej godna pochwały królewska para oczu.
Bez nich na nic skrzydła erosa
bez nich na nic jasność logosu.
Polszczyzna bez greki ślepa jak kocię.

* * *

Lektury rozlewają się jak delta rzeki
słyszę się u Norwida i Bubera.
Ale to nie oni mówią
gdy do szyby przykleja się liść, kropla, kurz.

* * *

Gadaliwość słońca od świtu do nocy
dar dla nienasyconych teraz i potem.
Ten sam widok od lat
nawet rama okna jest nim poruszona.

* * *

To okno jest granicą przebiegającą w nas.
Patrzemy razem w kłębach światła i uczuć.
Dopełniamy się i odpychamy
stworzeni jak wariacje na ten sam temat.

SPIS UTWORÓW

FOTOGRAFIA RODZINA

- Fotografia rodzinna / 7
* * * [Witaj Miasto] / 8
W kwietniu / 10
Szczęśliwe pokolenie / 11
*** [5 marca 2001 roku] / 12
Niedawno / 13
*** [Z samego rana] / 14
Dobroć i ciemność / 15
*** [Ponoć wszystkie pytania] / 16
Impromptu / 17
O czym milczy marmur / 18
*** [Alhambra znaczy...] / 19
Po co przyjechałem / 20
Portret / 21
Muzeum Złota / 22
Głosa do obydwu / 23
W Brochowie / 24
Wycieczka? / 25
Jak sztabki złota / 26

ZESZYT PANA CREDO

- Pan Credo patrzy przez szczelinę / 31
Podczas niepogody / 32
Jesienny portret pana C / 33
Podróż w zimie / 34

Pan Credo nie zgadza się	/ 35
Pan Credo koi duszę	/ 37
Wielkanocny dyptyk	/ 38
Sennik Pana Credo	/ 39
*** {Woda wydostaje się}	/ 40
*** [Zaskoczony, że śnię]	/ 41
*** [Monsignori w fioletach]	/ 42
*** [Wiem, że nie]	/ 43

OBSERWATORIUM NA BRZEGU	
Obserwatorium na brzegu	/ 47

WARIACJE NA TEMAT OKNA	
Wariacje na temat okna	/ 53
*** [Biel śniegu]	/ 54
*** [Szyba pochłania]	/ 55
*** [Najbardziej godna]	/ 56
*** [Lektury rozlewają się]	/ 57
*** [Gadatliwość słońca]	/ 58
*** [To okno jest]	/ 59

ALFRED MAREK WIERZBICKI – ur.1957 r. w Maryninie na Lubelszczyźnie. Poeta, filozof, teolog.

Autor sześciu książek poetyckich: *Jak ciemność w ciemności* (1991), *Inaczej każdej wiosny* (1993), *Kogut z Akwilei* (1999), *Znaki szczególne* (2000), *Miejsca i twarze* (2003), *Głosy i głosy* (2008).

Za tomik *Kogut z Akwilei* otrzymał Nagrodę im. Anny Kamieńskiej. Za tomik *Znaki szczególne* Nagrodę im. Józefa Czechowicza.

W roku 2009 tom *Głosy i głosy* był nominowany do II Ogólnopolskiej Nagrody Poetyckiej J. Czechowicza.

Święcenia kapłańskie otrzymał w 1982 r. W latach 1976–1982 autor studiował na Wydziale Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W okresie 1983–1986 odbył studia na Wydziale Filozofii tegoż Uniwersytetu. W latach 1986–1991 kontynuował studia na kursie doktoranckim w International Academy of Philosophy w Lichtensteinie. W roku 1991 obronił doktorat.

W 2005 r. opublikował rozprawę habilitacyjną *Filozofia a totalitaryzm. Augusta Del Noceo interpretacja kryzysu moderny*. Habilitował się w 2006 r. na Wydziale Filozofii KUL. Od 1992 r. był zatrudniony w Katedrze Etyki, na stanowisku asystenta, w 1993 r. otrzymał nominację na stopień adiunkta. Od 2004 pracował jako starszy wykładowca, od 2006 adiunkt, ze stopniem doktora habilitowanego. Od roku 2008 profesor nadzwyczajny KUL.

Od 1998 r. pełnił funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Jana Pawła II KUL, od 2006 jest jego dyrektorem.

Redaktor naczelny kwartalnika „Ethos”. Prócz tomów poezji opublikował ponad sto prac naukowych. Redaguje serię „Świadkowie duchowego piękna”, w której ukazały się książki poświęcone Hannie Malewskiej, Adamowi Stanowskiemu oraz Janowi Nowak–Jeziorańskiemu.

Od 1998 r. jest członkiem lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

B. N.

